

4/8/74

LAGUNA

ŚMIERCI

Turystyczny „boom” jaki nawiedził Afrykę w ostatnich latach sprawił, że niewiele państw zachowało swój prawdziwy folklor. Wielowiekowe tradycje ulegają przeobrażeniu, są bardziej na pokaz, podobnie zresztą jak w każdym innym zakątku świata, gdzie sprzedaje się je w formie souvenirów. Dahomej, wąski skrawek ziemi o powierzchni zaledwie 100 tysięcy km², leżący pomiędzy Togo, Górną Wolcią, Nigrem i Nigerią jest właśnie wyjątkiem w tym względzie. W całym kraju są tylko cztery hotele z prawdziwego zdarzenia. Na 7 tysięcy km dróg, tylko 600 ma asfaltową nawierzchnię, pozostałe to polne trakty, po których jazda osobowym samochodem jest katorgą tak dla pojazdu, jak i właściciela.

W Cotonou, jednym z większych miast kraju czynne są dwa hotele z basenami otoczonymi wysokimi palmami. Życie nocne skupia się w czterech restauracjach — barach, gdzie przy stereofonicznej muzyce można przypomnieć sobie o europejskiej kuchni.

Kilka kilometrów poza miastem biegają gołe dzieci. Przy drogach przylepione biedne domki zbudowane z gliny, których dachy tworzą gałęzie drzew palmowych. Dokoła morze zieleni. Na wolnych przestrzeniach bananowe lasy i uprawy zbóż tworzące podstawowy posiłek ludności tego kraju.

Mieszkańcy Dahomeju są przyjaźni i uczynni. Są też niezwykle przesądni. Na szumnym i niezwykle kolorowym bazarze w Cotonou dużą część zajmują

przedawcy przeróżnych przedmiotów mających uchronić przed nieszczęściem czy chorobą. Statuetki z palmowego drzewa, rogi kozy, małpie czaszki, kolorowe pióra: boski duch bowiem może uchronić przed śmiercią lub zabić.

Prawdziwym skarbem Dahomeju jest jednak Ganvie — fragment historii, która tu — w lagunie Nakoue, zatrzymała swój bieg jeszcze w osiemnastym stuleciu. W owym czasie skryli się tu nieliczni uchodźcy przed królem Abomeju, nie chcąc podzielić niewolniczego losu swoich braci. Na małych wyspach obleżonych przez krokodyle, epidemie, bez jedzenia i pitnej wody, w tej prawdziwej lagunie śmierci, jak ją wtedy nazwano, zakwitło życie. Powstały pierwsze domy na palach w wodzie, pojawiły się drażone z pni drzew pirogi.

Wyjechaliśmy z Cotonou drogą na północny wschód. Po 30 kilometrach zostawiliśmy samochód zapuszczając się w zielony busz. Po chwili niespodzianie znaleźliśmy się nad miniaturową przystanią zapełnioną czółnami. Murzyni prześcigają się w ofertach. Wybieramy najbliższą, starą pirogę. Natychmiast formuje się tam załoga, dwóch dorosłych z ogromnymi wiosłami i mały chłopiec.

Sceneria jest tak wspaniała, że nie ulega wątpliwości, że sama tylko wyprawa przez lagunę Nakoue była warta przyjazdu do Afryki. Stara piroga zanurzona jest prawie całkowicie w szarozielonej wodzie. Na dziobie i rufie dwaj Murzyni rytmicznie mielą wodę charakterystycznymi, okrągłymi piórami wiosł. Zaczynają wiosłować pomagając sobie krótkimi urywanymi strofami, by później połączyć się w jedną melodię pieśni. Laguna podzielona jest na szereg kanałów. Przepływamy „akadja” strefę podzieloną licznymi palami wystającymi ponad powierzchnię wody. Tu stacjonuje flotylla rybacka. Na kolorowych łodziach mężczyźni wyruszają na połów ryb. Zręcznie rzucona duża, lekka sieć zatrzymuje się na chwilę w wodzie jak wielki biały kwiat i potem ginie w głębinie.

Żegluga trwa godzinę. Potem, nieoczekiwanie pojawia się „wyspa” Ganvie. Sceneria jest niezwykła. Ten zakątek z pewnością należy zaliczyć do najciekawszych na świecie. Tu, w szałasach zbudowanych na pomoście, którego fundamenty tworzą tysiące pali, żyje 25 tysięcy ludzi. Tu się rodzą, niektórzy chodzą do szkoły, polują, łowią ryby i tu umierają. Piroga jest jedynym środkiem lokomocji i transportu. Dawna laguna śmierci jest dziś laguną życia.

Na miniwyspce liczna grupa kobiet z naczyniami stoi w kolejce po pitną wodę. Na mniejszych kanałach nagie dzieci przed szałasami porzucają swoje zabawy i biegają nam naprzeciw wołając o „cadeau”. Dwudziestoletnia dziewczyna chowa się przed obiektywem aparatu fotograficznego zakrywa-



jąc obnażone piersi. Podpływa piroga pełna żywności. Jej właściciel zapewnia, że u niego można zjeść najlepiej. Mijamy pływający jarmark. Sprzedawcy prześcigają się w oferowaniu „gri-gri”. Lokalne talizmany uchronią nas przed wszelkim złem. Dalej jest szkoła, trybunał i więzienie.

„Memory of Ganvie” mówi napis przed wejściem do jednego z szałasów. Wewnątrz dziewczyna, powiedziałbym nawet elegancka, sprzedaje naszyjniki z morskich muszelek, bransoletki z brązu, ludowe tkaniny i maski z drewna różnych form i wielkości. Na jej plecach bardzo małe dziecko patrzy na nas na pół zamkniętymi oczkami.

Na jednej z wysepki pomiędzy dwoma szałasami wyrosło wysokie drzewo. Obok widzimy stado kurcząt bez troski spacerujących między czarnymi prosiakami. Po drodze napotykamy domki, z których unosi się dym i zapach smażonych ryb.

Jest już prawie zmrok kiedy opuszczamy Ganvie. Pomimo że przemierzyłem pół Afryki: miałem już za sobą całą Saharę, zielony busz, kopalnie złota i diamentów, nieoczekiwane spotkanie z ludożercami, tragicznie smutną sawannę Nigru ze śladami padłych z pragnienia zwierząt, nie przypuszczam, aby o Braz laguny śmierci szybko zamazał się w mojej pamięci.

JACEK E. PALKIEWICZ